

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXIII

WARSZAWA, DNIA 7 MARCA 1931 ROKU

NR. 10

ANDRZEJ STRUG

10) OSTATNI FILM EVY EVARD

Nędza, głód. Wymieramy na niesłychane, niezbadane choroby, szerzy się psychoza, wszędzie pełno maniaków, ludzie dziczeją, wdowy po bohaterach nurzają się w rozpuście, niesłychane pijaństwo, kokaina... Masa się burzy, niema dnia, żeby gdzieś nie wybuchały strajki, rozruchy, buntury głodowe... A na wszystkich klęskach, na każdej nędzy zarabia i bogaci się zawrotnie zbrodniarz bez czci i wiary, paskarz i szmuglerz wojenny, szachraj i bandyta i siłą pieniądza już urasta w powagę, stanowi nową klasę społeczną... Gdy na to patrzę, ja, stary gaziarz, dopuszczam chwilami hipotezę nie tyle naukową, ile po-niekąd mistyczną, że nieprzyjaciół przez swoich szpiegów, których ma u nas grasować nieobliczalne mnóstwo, zatruwa nam powietrze jakąś nieuchwytną szatańską substancją, która poraża duszę, wytwarza szaleństwo... A jednak — czyż to nie cud — pomimo wszystko nasza armja stoi mocno, opiera się całemu światu i zwycięża. Wielki jest naród niemiecki!

Nie widzieli się od dwóch tygodni. Profesor zmierzniał, przygarbił się i postarzał, w jego spojrzeniu zaskrzęptała troska. Claude chciał zapytać o Ritę, ale nie śmiał. Zaczął o dalszych pracach doświadczalnych, pytał, czy tam u góry zapadły jakie decyzje?

— Zostało, jak było. Ja się już nie będę upominać. Przegrałem sprawę, oby cały naród nie odpokutował za to! Moja koncepcja oszczędziłaby nam dużo czasu i dużo krwi niemieckiej... To już prze-padło — niema o czem gadać.

— A my?

— Tak zwane „Wagershöle”? Będę nadal bro-nił etatu moich pracowni i naszych kilkunastu ludzi, choć nie mam dla panów żadnych zadań. Oby mi się udało jaknajdłużej uchronić od frontu tę garść wy-branych młodych sił naukowych. Nasza wiedza, w szczególności chemja czysta i niemniej techniczna, poniosły już wielkie straty. Trzeba coś zachować na przyszłość. Ale lada dzień wkroczy władza wojsko-wa i zabierze mi kwiat wiedzy niemieckiej na mięso armatnie.

Claude był rażony myślą, że i on może się zna-leźć na froncie. Jeszcze tego brakowało... Czyż w jego dziwnych kolejach losu mogło być coś bardziej fantastycznego?

I w jego mózgu, wstrząśniętym dopiero tak okropnie, zaległo się nanowo coś w rodzaju zwątpie-nia o sobie. Ossian Helm nie poto przybył z za oce-anu do starej ojczyzny, żeby się wahać, gdy trzeba nadstawić głowy na froncie. Ossian Helm nie bę-dzie się zasłaniać swoim obywatelstwem amerykań-

skim. Pójdzie i gdy będzie trzeba, zginie jak bohater.

Cóż się stanie wówczas z kapitanem Déspaix?

...Widzi go w głębokim hełmie niemieckim, w sza-rozielonym płaszczu, a na pasie klamra z orłem ce-sarskim i z napisem „Gott mit uns”...

...Zagubiony w masie bataljonu, nie czuje siebie, jest bezimienną częścią zbiorowiska i nie odpowiada za nic. Kryje się w głębokim okopie i mierzy przez wąską strzelnicę do niewiadomego wroga...

...Wyją nad nim przelatujące pociski, grzmia wy-buchy, kiedyż i on nareszcie zajęknie i padnie?...

...Ale gdy nastąpi ów dzień i trzeba będzie pójść do ataku z nożem, z granatami w rozproszonym szy-ku... Gdy przebiegnie ogień zaporowy, gdy przejdzie cało druty i doły i dosięgnie nareszcie wroga w cia-snocie chodnika? Oko w oko? Sam na sam?

...Czy znajdzie w sobie dość siły obłądu, by pchnąć w błękitny mundur bagnietem lub nożem?

Nagle znikła zmora, tłocząca mózg, w jednej chwili zapomniane zostało tamto. Profesor mówi za-jakliwym głosem, patrzy nań błagającymi oczami, zmieszany — prosi.

— Niepodobna się na nią obrażać... Panie dok-torze, cóż ona winna? Nie wytrzymała wojny, jest zniszczona, zamordowana. Ona potrzebuje litości, ciepła, przyjaźni. Ja jestem za stary i sam zgębio-ny, kogoż ona tu ma? Nikogo. W samotności dziwa-czeje. Z dnia na dzień coraz dalej odchodzi od rze-czy z tego świata. Niech ją pan ratuje... Pan jest jedynym człowiekiem, z którym lubiła przestawać... Pan jej uratował życie... O mało pan nie zginął, bro-niąc jej przed nią samą, a teraz obraza o jakieś nie-poczytalne słowo?

— Ależ, panie profesorze, na Boga, co za obra-za? Jak można... Miałem sobie za najwyższy za-szczyt i — że tak powiem — szczęście... Cóż, spo-strzegłem, że jestem zbyt natrętny...

— Pan tego nie mógł zauważyć... Owszem... To ona w złej chwili wyrwała się z jakimś głupstwem i teraz gorzko żałuje...

— Pani baronowa?!

— Tak jest! Ale, doktorze, pod największym sekretem — przecież właściwie to ona mnie tu przy-słała.

Zaczęło się podawnemu. Wróciło słodkie oma-mienie szczęścia chwili, szczęścia godziny. Ustał bieg czasu, nie było dnia wczorajszego, nie czyhało jutro zawsze niepewne, groźne dla tego, co jest. Jak daw-

niej, istniały tylko godziny, spędzane z Ritą, reszta była pustym martwym snem. Claude nie pytał więcej, kim on jest, ustały niepewności rozdarcia. Pod jej czarem stawał się nowym człowiekiem, kimś trzecim, który był prawdziwy i ostateczny, a o tamtych zapominał, zapominał — aż wreszcie zapomniał.

Po przerwie dwóch tygodni przyjęty był zwyczajnie, jak zawsze, bez zmieszania, bez zdziwienia, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. Claude od razu spostrzegł w niej zmiany. Oczy Rity stały się jeszcze bardziej wdał patrzące i nie widziały, zda się, niczego, co było bliskie i rzeczywiste, ale na ustach błakał się warty pół uśmiech i ożywiał jej twarz tajemniczym blaskiem. Jakgdyby nareszcie coś w sobie odgadła i ukrywała tę nowinę, jakąś dobrą wieść. Była uprzejma, niemal dobra.

— Wie pan? Odnowiłam dawną przyjaźń z Szopenem i wspominam z nim dobre stare czasy. Wszak to on pierwszy wciągnął mnie w świat muzyki! Później zagłuszyła mi go ojczyzniana niemieckość, w niej na długo zaprzepaściłam się cała, po manjacku. Teraz z Szopenem jakbym się odnowiła, odmłodziła. Z nim to tak, jak — powiedzmy — w brzydki zimowy dzień, gdy niema nawet śniegu, jest pochmurno, ostry wiatr wyje i wszystko jest ogołocone, puste, nudne — nagle staje się cud. W jednej chwili zaleje, zapełni świat rozkoszne ciepło, drzewa, ziemia okrywają się zielenią, zaśmieją się barwami kwiaty, na błękitie nieba zawisną białe okrągłe obłoki... Czy spokój, czy tęskna zaduma, czy smutek — w nim zawsze jest dobra wiosniata nadzieja, słodycz. Potężna jest nasza muzyka, ale jej mądrość jest jakaś ponura, za ciężka... Nieprawdaż?

— Pani Rito, każdy autor, każda partytura inaczej nam brzmią za każdym razem, gdy zmieni się coś w nas samych. A co do Szopena, to, doprawdy, nie wiem. Mówiąc otwarcie, za mało go znam.

— Ja pana z nim zaprzyjaźnię! Musi go pan odkryć w sobie i pokochać. Będziemy dużo, dużo grali.

Codzień koło południa Claude przychodził do willi „Zyglinda”, był na obiedzie i zostawał do późnego wieczora. Coraz głębiej pogrążał się w opętaniu i w niem się umacniał. Nareszcie wiedział, że istnieje i poco żyje. Urodził się z takim właśnie, nie innym, przeznaczeniem i to, co było przed Ritą, stało się zrozumiałem jeno jako wstęp, który mu zabrał co prawda czterdzieści lat, ale już przeminął, więc najlepiej zapomnieć o nim.

Poco człowiek żyje? To pytanie zostanie wiecznie nierozwiązalne, ale byt ludzki nie może być czymś złośliwym żartem, ani majakiem, który się przysnił Bogu czy djabłu, ani jakąś kosmiczną pomyłką, ani prostym absurdem. Dla samego siebie Claude już wiedział, poco żyje, a każdy inny niech to zgaduje i rozstrzyga, jak mu się podoba. Ludzkość? Co go ona obchodzi?

Wojna? A może ta cała wojna światowa, potworny obłęd, który ogarnął narody... Miljony i miljony trupów... I to, co ją wywołało, sploty zjawisk, przypadki, zbrodnie... I te dalsze nieprzebrane i nieprzewidziane przewroty i klęski, które już po niej będą się wlokły przez pokolenia... Dlaczego nie? Niech mu kto dowiedzie, że w mgławicowym chaosie wszechświata nie wydarzyło się to jedynie poto, by on spotkał w swoim życiu Ritę? Wszak inaczej nie wiedzieliby o sobie nawzajem...

Nawzajem... Do niedawna nawet przelotnie nie zamarzył, żeby i ona zwróciła nań uwagę bodaj jako

na przyjaciela, a cóż dopiero... On jeden znał bezmiar swego uwielbienia i jego prawdziwą postać. Rita nie była rzeczywistością, kobietą z krwi i ciała, człowiekiem, Rita była cudem, wyniesieniem na jawie, niemożliwym do ziemskiego ujęcia.

Ale już po paru dniach od wznowienia ich stosunków postrzegł w zachwycie, który miał w sobie coś z przerażenia, że Rita wita go inaczej, że nie zapomina o jego obecności, że zwraca się doń bezpośrednio, a nie odzywa się sama do siebie lub kędyś w przestrzeń. Ta odmiana, widoczna w wielu nieznacznych szczegółach, zdradzała się głównie w rzeczach nieuchwytnych, ledwie dostrzegalnych dla wysubtelnionego odczucia. Claude zaczynał wierzyć, że ona wie i myśli o nim nawet wówczas, gdy jego przy niej niema. To niesłychane odkrycie przejęło go błogością, wzruszyło do łez. Bolało go szczęście, zaskoczyło go niespodzianie, było nazbyt ogromne.

To też gdy przyniósł je do domu i upajał się niem w extatycznym rozpamiętywaniu, w pewnej chwili nagle ochłonał... Choćby o nim wiedziała, choćby nawet przemknął się czasami w jej samotnych myślach... Cóż z tego? Poprostu przychodzi do zdrowia, do równowagi umysłowej i dzięki Bogu staje się normalną. Zachowuje się z nim zwyczajnie, jak każdy z każdym...

— A tybyś chciał?...

— Nie chcę niczego! Niczego — niczego...

Rita zwierzyła mu się, że zaczęła pisywać do męża, który „jak ją powiadomiono” znajduje się w Anglii, w obozie jeńców. Choć zawsze miała tajemne przeświadczenie, że Fell nie zginął, nie mogła się przymusić, żeby pisać na ślepo. Dopiero, gdy się dowiedziała napewno...

— Pani baronowo, taka radość! Czemuż mi pani nic nie mówiła? Ani pan profesor?

— Ojciec nie może o tem wiedzieć! To tajemnica — panu jednemu ją powierzam. Muszę się z kimś podzielić moim szczęściem...

Opowiadała głosem przyciszonym o ciężkich kolejach, które Fell musiał wycierpieć, zanim się dostał do obozu jeńców w północnej Szkocji. Był ciężko chory z przemarznięcia w lodowatej listopadowej wodzie. Sprawdziło się wszystko, co opowiadał ten Gebeschuss, oczywiście Fell ratował się ostatni. Teraz odpoczywa, przychodzi do siebie, ale niegodni anglicy nie pozwalają mu pisywać listów.

— Wiem, że on tak nie usiedzi do końca wojny, będzie próbował ucieczki. O to się boję... Wiem, że to bardzo trudno, ale gdyby się tylko wykradł po za druty, to już da sobie radę. Doskonale mówi po angielsku i w paru południowo-wschodnich portach miał dobrych starych znajomych agentów handlowych i armatorów, różnych szwedów, holendrów, w Hull, w Sunderland, w Harwich... Ci mu wszystko ułatwią, bo kto bodaj raz go widział, musi go polubić. Żegluga teraz jest bardzo ograniczona, ale przecież okręty wychodzą co pewien czas z tych portów, neutralni robią wspaniałe interesy... Razem z nim uratował się i jest teraz w obozie drugi oficer z U. C. 17, Fred Hasshagen. We dwóch nie zginą. Nie ma pan pojęcia, co to za dzielny człowiek ten Fred. Spryciarz i prawdziwy morowiec.

Urwała, zasepiła się, opadło podniecenie, z jakim snuła swoją opowieść. Badała Claude'a zatroskanym spojrzeniem. Złożyła ręce błagalnie.

(D. c. n.).